

Stany Zjednoczone – potęga bez strategicznej sprawczości?



PROF. MARIUSZ ORŁOWSKI

Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Stany Zjednoczone pozostają najpotężniejszym państwem świata, ale coraz wyraźniej widać różnicę między posiadaniem ogromnych zasobów a zdolnością do ich skutecznego i przewidywalnego wykorzystania. Narastające problemy fiskalne, słabości systemu zamówień obronnych, polaryzacja polityczna, erozja zaufania społecznego i coraz mniej spójna polityka zagraniczna mogą ograniczać strategiczną sprawczość Ameryki, nawet jeśli jej potencjał gospodarczy, technologiczny i militarny pozostaje olbrzymi. Z perspektywy Polski to nie akademicka debata o „schyłku” Stanów Zjednoczonych, lecz pytanie o trwałość fundamentu, na którym od dekad opiera się nasze bezpieczeństwo. Przyszłość amerykańskiej potęgi to jedno, drugie to pytanie, czy Polska i Europa będą gotowe na rzeczywistość, w której Stany Zjednoczone pozostają supermocarstwem, a jednocześnie długotrwale przestają być przewidywalnym i skutecznym gwarantem ładu światowego.

Różnica między potęgą a zdolnością do jej strategicznego wykorzystania

Polska, a wraz z nią cała Europa Środkowa, ma szczególne powody, by przyglądać się Stanom Zjednoczonym z uwagą wykraczającą poza rutynowe zainteresowanie. Nie dlatego, że upadek Ameryki jest bliski, ani dlatego, że jej zasoby są w jakimś sensie pozorne. Według niemal każdego tradycyjnego kryterium Stany Zjednoczone pozostają najpotężniejszym państwem świata w wymiarze militarnym. Amerykańskie uniwersytety są filarem światowej nauki. Amerykańskie przedsiębiorstwa dominują w całych

sektorach technologii i finansów. A dolar wciąż stanowi fundament infrastruktury międzynarodowego handlu. Rok 2026 przyniósł już jednak dwa niewygodne fakty, które komplikują łatwe przekonanie o niekwestionowanej amerykańskiej supremacji: trwająca wojna z Iranem (państwem średniej wielkości) nie przyniosła dotąd jednoznacznego amerykańskiego zwycięstwa, a chińska gospodarka pod kilkoma istotnymi względami – przede wszystkim w ujęciu parytetu siły nabywczej i zdolności produkcyjnych – wyprzedziła już gospodarkę amerykańską.

Pojawia się zatem pytanie, i to coraz bardziej naglące: jak należy rozumieć konsekwencje rosnącej trudności, z jaką Stany Zjednoczone przekładają swoją wciąż ogromną przewagę materialną na spójne, przewidywalne i skuteczne działanie strategiczne.

W długiej perspektywie dane o udziale w światowym PKB nie potwierdzają prostej tezy o względnym schyłku Stanów Zjednoczonych. W 1995 r. USA odpowiadały za ok. 24,4 proc. światowego nominalnego PKB, a w 2025 r. – za ok. 26 proc. W tym samym czasie udział dzisiejszej UE spadł z ok. 26,5 do 18 proc. – trzydzieści lat temu gospodarka europejska była w dolarach nieco większa od amerykańskiej, dziś amerykańska jest o ok. 45 proc. większa. Wobec Europy trudno więc mówić o relatywnym słabnięciu Ameryki; dzieje się raczej odwrotnie.

Inaczej wygląda oczywiście zestawienie z Chinami. Ich udział wzrósł w tym okresie z ok. 2,4 do 16,5 proc. światowego PKB, więc w perspektywie trzydziestu lat dokonał ogromnego skoku względem USA. Ale również tutaj ostatnie lata komplikują prostą narrację. W 2021 r. chiński nominalny PKB stanowił ok. 77 proc. amerykańskiego, podczas gdy w 2025 r. już tylko ok. 63 proc. Oczywiście inne mierniki – PPP, produkcja przemysłowa czy udział w światowym przemyśle – pokazują znacznie większą siłę Chin. Co więcej, dane za 2026 r. w ujęciu PPP rysują jeszcze bardziej złożony obraz. Według danych MFW nominalny PKB UE-27 wynosi około 23,0 bln dolarów, Chin około 20,8 bln, a Stanów Zjednoczonych około 32,4 bln. W ujęciu PPP proporcje te zmieniają się zasadniczo: około 30,7 bln dolarów

dla UE-27, 38,2 bln dla Chin i 29,2 bln dla Stanów Zjednoczonych.

Nominalny PKB mówi nam wiele o zasobach finansowych, jakie państwo może zmobilizować, zwłaszcza w systemie zdominowanym przez dolara. Znacznie mniej mówi natomiast o fizycznej ilości dóbr, infrastruktury i zdolności produkcyjnych, które za te zasoby można nabyć. Most czy samochód budowany w Chinach kosztuje bowiem około dwa razy mniej niż w Europie. To rozróżnienie między potęgą finansową a potęgą produkcyjną będzie miało kluczowe znaczenie dla dalszej analizy.

Podobnie należy ostrożnie interpretować porównanie G7 i BRICS. G7 odpowiada obecnie za około 29 proc. światowego produktu, podczas gdy kraje BRICS – zamieszkane przez blisko połowę ludności świata – za ponad 44 proc. Wniosek z tych liczb nie jest jednak tak prosty, jak mogłoby się wydawać. Wiele państw BRICS to bowiem gospodarki w dużym stopniu zależne od dostępu do rynków zachodnich, technologii i systemu finansowego opartego na dolarze. Ich rosnąca siła produkcyjna nie przekłada się automatycznie na zdolność do kształtowania ładu międzynarodowego. Liczby te ukazują zatem złożony, wielobiegowy obraz: amerykańska potęga materialna pozostaje ogromna, Europa nie stanowi dziś dla USA konkurencyjnego bieguna gospodarczego, a jednocześnie globalny układ sił gospodarczych – przede wszystkim za sprawą wzrostu Chin i innych gospodarek wschodzących – powoduje zepchnięcie Ameryki na, gorszą niż dotychczas, pozycję.

Przedmiotem tego eseju nie są rozważania na temat skali amerykańskiej potęgi. Niniejszy artykuł stanowi próbę oceny w jaki sposób zdolność Stanów Zjednoczonych do przekształcania nagromadzonej potęgi materialnej w spójne działanie strategiczne przekłada się na percepcję tych, którzy własne pole manewru strategicznego uzależnili od pozycji USA. Chodzi zatem nie tyle o rozstrzygnięcie, czy Ameryka znajduje się w stanie „schyłku”, ile o zrozumienie, jak wygląda dziś przełożenie jej ogromnych zasobów na działanie strategiczne i jak wiarygodność tego przełożenia przedstawia się chociażby z perspektywy Warszawy.

Piec może być wypełniony ogromnym zapasem paliwa, a mimo to nie ogrzeje domu, jeśli przewody kominowe są zatkane, a termostat nie działa. Na tym właśnie polega istota niepokoju, który warto poddać analizie: amerykański mechanizm o niezwyklej skali staje się coraz mniej zdolny do przekładania swojej materialnej przewagi na jasno określony kierunek strategiczny – przynajmniej z perspektywy interesu Polski. Problem nie jest wyłącznie gospodarczy, militarny czy polityczny – wynika z destrukcyjnego kumulowania się wszystkich tych czynników, dodatkowo wzmacnianych przez kruchą sytuację fiskalną, rosnące zadłużenie sektora prywatnego, dysfunkcje instytucjonalne oraz politykę zagraniczną, której kierunek zdaje się zmieniać równie kapryśnie jak pogoda.

Dla kraju takiego jak Polska, którego cała architektura bezpieczeństwa opiera się na założeniu trwałego zaangażowania Stanów Zjednoczonych – w tym stabilności i długowieczności NATO – zasadnicze pytanie

brzmi, czy USA pozostaną supermocarstwem wiarygodnym, strategicznie spójnym i militarnie skutecznym. Jest to kwestia szczególnie istotna, gdy rozpatruje się ją w świetle trwałego interesu narodowego Polski i polskiej racji stanu.

Potęga państwa nie zależy wyłącznie od skali jego zasobów, lecz także od zdolności do przekładania ich na spójne, przewidywalne i skuteczne działanie strategiczne.

Z perspektywy Polski kluczowe pytanie nie brzmi więc, czy Stany Zjednoczone pozostaną supermocarstwem, lecz czy pozostaną supermocarstwem wiarygodnym i zdolnym do skutecznego podtrzymywania swoich zobowiązań.

Dwie wypowiedzi, sformułowane na różnych poziomach i w odmiennych epokach, dobrze oddają istotę problemu. Politolog John Mearsheimer określił amerykańską rolę w Europie mianem „smoczka” – zewnętrznego gwaranta, którego obecność powstrzymuje państwa europejskie przed powrotem do dawnego zwyczaju wzajemnych sporów, a niekiedy także wzajemnego wyrzynania się. Kilkadziesiąt lat wcześniej, w 1949 roku, Lord Ismay, który miał zostać pierwszym sekretarzem generalnym NATO, ujął tę samą myśl znacznie bardziej dosadnie: „to keep the Russians out, the Americans in, and the Germans down” („trzymać Rosjan na dystans, Amerykanów przy sobie, a Niemców pod kontrolą”).

Obie te formuły warto rozpatrywać łącznie i traktować poważnie. Problemy i zagrożenia, które miał tłumić „smoczek” nadal są bowiem

aktualne. Zaś Niemcy i Rosjanie, o których wspominał Ismay wcale nie zeszli po cichu ze sceny. Każde z tych państw pozostaje istotną zmienną w strategicznych kalkulacjach Warszawy – nie tyle reliktem roku 1949, ile historyczną stałą, która po prostu zmieniała kostium. Do tego dochodzi Ukraina, która w ciągu ostatnich lat wyrosła na istotnego gracza polityki europejskiej, a w pewnych wymiarach także światowej. Jej pojawienie się jako samodzielnego podmiotu strategicznego jeszcze bardziej komplikuje europejską układankę w sytuacji, gdy Stany Zjednoczone zaczynają wycofywać się z roli „smoczka”.

Zadłużenie – miecz Damoklesa

Wszystkie opisane poniżej zjawiska – zadłużenie, problemy systemu zamówień obronnych, polaryzację polityczną – należy rozpatrywać nie jako dowody nieuchronnego upadku, lecz jako czynniki, które w połączeniu mogą ograniczać zdolność Ameryki do skutecznego działania strategicznego. Historia uczy, że Stany Zjednoczone wielokrotnie potrafiły przewycięzać podobne wyzwania. Pytanie brzmi zatem nie tyle, czy problemy te są realne – bo są – ile czy ich kumulacja i wzajemne oddziaływanie nie tworzą nowej jakości, trudniejszej do przewyciężenia niż każdy z nich z osobna.

Najbardziej jaskrawym czerwonym światłem ostrzegawczym na amerykańskim panelu bezpieczeństwa jest sytuacja fiskalna. Stany Zjednoczone zgromadziły dług federalny o historycznych rozmiarach, a jednocześnie nadal utrzymują wysokie deficyty nawet w okresach wzrostu gospodarczego – jest to raczej zachowanie gospodarstwa domowego, które pożycza pieniądze także w dobrych

latach, a nie tylko wtedy, gdy nadchodzą chude czasy. Problemem nie jest jednak sam rozmiar zadłużenia, lecz sprzężenie zwrotne między długiem, stopami procentowymi i deficytem, który nie wykazuje oznak trwałego zmniejszania się. Wszystkie trzy czynniki wzajemnie się napędzają, tworząc mechanizm przypominający lawinę: niewielki impuls może ją uruchomić, a gdy już ruszy, jej bieg staje się coraz trudniejszy do zatrzymania.

Rosnące zadłużenie samo w sobie nie przesądza o osłabieniu Stanów Zjednoczonych, ale coraz wyższe koszty jego obsługi mogą stopniowo ograniczać zdolność państwa do finansowania obronności, infrastruktury, innowacji i aktywnej polityki zagranicznej. Największym ryzykiem jest nie pojedynczy problem fiskalny, lecz sprzężenie długu, deficytu i wysokich stóp procentowych z polityczną niezdolnością do uzgodnienia wiarygodnej ścieżki stabilizacji.

Biuro Budżetowe Kongresu (Congressional Budget Office, CBO) prognozuje, że tylko w 2026 roku rząd federalny wyda około 1 biliona dolarów na odsetki netto od długu – więcej niż około 898 miliardów dolarów przewidzianych w tym samym roku na uznaniowe wydatki obronne. Zgodnie z projekcją CBO wydatki na odsetki netto wzrosną z 3,3 proc. PKB w 2026 roku do 4,6 proc. w 2036 roku. Wówczas obsługa długu pochłaniałaby niemal jedną piątą całego budżetu federalnego. To fiskalny odpowiednik gospodarstwa domowego, w którym comiesięczne raty starych zobowiązań zaczynają wypierać wydatki na codzienne utrzymanie.

Prowadzi to do kłopotliwego dylematu. Waszyngton chce zachować militarną przewagę, odbudowywać infrastrukturę, finansować innowacje, utrzymywać programy społeczne i pozostać aktywnym na świecie – a jednocześnie coraz większa część budżetu federalnego jest przeznaczana nie na realizację tych ambicji, lecz na obsługę zobowiązań zaciągniętych w przeszłości. Sam dług nie jest z natury rzeczy niebezpieczny. Gospodarka, która szybko rośnie i zaciąga zobowiązania w celu finansowania produktywnych inwestycji, może udźwignąć znaczny poziom zadłużenia. Dług zaciągany na finansowanie bieżącej konsumpcji jest jednak czymś zupełnie innym – w pewnym momencie przestaje wzmacniać potęgę państwa, a zaczyna ją podważać. Dług federalny utrzymywany przez sektor publiczny, zgodnie z długoterminową projekcją bazową CBO, ma osiągnąć 156 proc. PKB w 2055 roku. CBO ostrzega przy tym wprost, że taka trajektoria oznaczałaby wolniejszy wzrost gospodarczy, wyższe koszty obsługi długu oraz coraz węższy zakres przyszłych wyborów politycznych. Innymi słowy, miecz jeszcze nie spadł – ale nić, na której wisi, zaczyna się strzępić zgodnie z harmonogramem, który CBO już opublikowało.

Nie jest to problem wyłącznie amerykański – każda współczesna gospodarka funkcjonuje z długiem, a pokusa odsuwania momentu rozliczenia się z narastających zobowiązań jest równie powszechna w zachodnich demokracjach, również w Polsce. Tym, co wyróżnia przypadek Stanów Zjednoczonych, jest widoczna niezdolność polityczna do uzgodnienia wiarygodnego planu, który ustabilizowałby trajektorię zadłużenia. W Kongresie nie brakuje głosów ostrzegających

przed fiskalnymi konsekwencjami utrzymywania wysokich deficytów – jednym z nich jest kongresmen Thomas Massie – jednak polityczna energia poświęcana temu problemowi pozostaje uderzająco niewspółmierna do jego skali.

W miejsce rzeczywistego planu krążą dwa nieformalne „remedia”. Jeden obóz liczy na to, że wzrost produktywności napędzany przez sztuczną inteligencję pozwoli z czasem spłacić dług niejako samoczynnie. Dlatego z ogromnym rozmachem buduje się gigantyczne centra danych, pochłaniające olbrzymie ilości energii i zasobów wodnych. Coraz częściej spotyka się to jednak z protestami lokalnych społeczności, które obawiają się, że za ten gambit wielkich korporacji przyjdzie im ostatecznie słono zapłacić. Drugi obóz po cichu zakłada, że zadanie to wykona inflacja, pozwalając spłacać dawne zobowiązania tańszymi dolarami przyszłości – rozwiązanie, którego koszt ostatecznie ponosi nie Waszyngton, lecz zwykły oszczędzający i człowiek utrzymujący się z pracy.

Żadne z tych rozwiązań nie jest rozsądną strategią fiskalną ani nie daje się pogodzić z podstawowym obowiązkiem państwa, jakim jest ochrona wspólnego majątku społeczeństwa, któremu ma służyć. W istocie oba opierają się na iluzorycznym oczekiwaniu, że nieubłaganej matematyce będzie można wymykać się bez końca – że dzięki nadzwyczajnemu wzrostowi gospodarczemu albo inflacji uda się kiedyś dokonać wielkiego finansowego „cudu”. Matematyki jednak, w przeciwieństwie do elektoratu karmionego narracyjną „prawdą”, nie da się zaklinać,

by odstąpiła od dochodzenia tego, co jej się należy.

Zadłużenie przedsiębiorstw i sektora prywatnego

Podatność amerykańskiej gospodarki na wstrząsy nie ogranicza się jednak do ksiąg rachunkowych Waszyngtonu. Gospodarstwa domowe, przedsiębiorstwa, banki i władze stanowe przez lata budowały własne warstwy zobowiązań.

Łączne zadłużenie amerykańskich gospodarstw domowych osiągnęło w drugim kwartale 2026 roku około 18,8 biliona dolarów. Według danych Federal Reserve Bank of New York 4,7 proc. wszystkich pozostających w obiegu zobowiązań znajdowało się na jakimś etapie zaległości w spłacie. Samo zadłużenie z tytułu kart kredytowych sięgało około 1,26 biliona dolarów, kredyty samochodowe – 1,71 biliona, a kredyty studenckie – 1,65 biliona dolarów.

Bardziej wymownym sygnałem nie jest jednak sama wielkość zadłużenia, lecz pogarszająca się jakość tego długu. Między trzecim kwartałem 2022 roku a pierwszym kwartałem 2026 roku odsetek zadłużenia z kart kredytowych pozostającego w zwłoce przez co najmniej 90 dni wzrósł z 7,6 proc. do 12,8 proc. – do poziomu trudności, które nowojorska filia FEDu ocenia jako niespotykane od czasów Wielkiej Recesji.

Dane te należy jednak interpretować *cum grano salis*. Stany Zjednoczone nie znajdują się obecnie w stanie powszechnego kryzysu zadłużenia gospodarstw domowych na skalę porównywalną z 2008 rokiem. Łączne obciążenie dochodów gospodarstw domowych

obsługą długu wynosiło w pierwszym kwartale 2026 roku około 11,2 proc. dochodu rozporządzalnego i nadal pozostawało wyraźnie poniżej poziomu szczytowego sprzed kryzysu. Średnia potrafi jednak skrywać skrajności tak, jak spokojna tafla rzeki potrafi ukrywać pod powierzchnią zdradzieckie wiry. Gospodarstwo domowe obciążone nisko oprocentowanym kredytem hipotecznym o stałej stopie znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż gospodarstwo utrzymujące zadłużenie na wysoko oprocentowanych kartach kredytowych. Młodszy kredytobiorcy, osoby spłacające kredyty studenckie oraz gospodarstwa domowe o niższych dochodach mogą już dziś doświadczać realnych problemów finansowych, nawet jeśli zagregowany bilans całego sektora nadal wygląda stosunkowo stabilnie.

Rosnące zadłużenie gospodarstw domowych i przedsiębiorstw nie musi samo w sobie prowadzić do kryzysu, ale przy wysokich stopach procentowych zwiększa wrażliwość całego systemu finansowego na problemy z refinansowaniem i niewypłacalność. Największe ryzyko tkwi nie w pojedynczych słabościach, lecz w ich wzajemnym powiązaniu – wstrząs w jednym segmencie może uruchomić efekt domina, którego państwo obciążone już wysokim długiem nie będzie w stanie efektywnie zamortyzować.

W przypadku przedsiębiorstw historia wygląda podobnie. Wiele amerykańskich firm zaciągało zobowiązania na niezwykle korzystnych warunkach w okresie niemal zerowych stóp procentowych, które towarzyszyły

pandemicznej polityce gospodarczej – dług ten był wówczas całkowicie do udźwignięcia, ponieważ pieniądź był w praktyce niemal darmowy. Refinansowanie tych samych zobowiązań przy dzisiejszych, znacznie wyższych stopach procentowych jest już zupełnie inną propozycją. Nigdzie problem ten nie ma większego znaczenia niż na rynku nieruchomości komercyjnych, gdzie ogromna liczba kredytów będzie musiała w końcu zostać refinansowana, podczas gdy ekonomiczne podstawy funkcjonowania wielu nieruchomości biurowych zmieniły się zasadniczo.

Żadna pojedyncza porażka nie musi być sama w sobie katastrofalna – ale rok 2008 pokazał, jak niewiele to gwarantuje. Upadek średniej wielkości instytucji, takiej jak Bear Stearns, uruchomił wówczas efekt domina poprzez sieć wzajemnych powiązań i ekspozycji na ryzyko, a w konsekwencji doprowadził do upadku znacznie większych instytucji finansowych. Istota zagrożenia, zarówno wtedy, jak i potencjalnie dziś, tkwi więc nie tyle w rozmiarze pojedynczego bankructwa, ile w tkance połączeń między instytucjami. Czy będzie to pojedyncze niewykonanie zobowiązania przenoszące się dalej poprzez łańcuch powiązań między kontrahentami, czy też wiele pozornie marginalnych problemów z refinansowaniem, które skumulują się w tym samym czasie i jednocześnie obciążą banki oraz instytucje finansowe spoza sektora bankowego – mechanizm pozostaje zasadniczo ten sam.

Obawa ta jest dziś coraz częściej artykułowana otwarcie przez ekonomistów: Stany Zjednoczone mogą ponownie zbliżyć się do krawędzi kryzysu przypominającego ten z 2008 roku. Jeśli taki wstrząs nałoży się na już

napięty bilans federalny, nie będziemy mieli do czynienia z pojedynczym problemem, lecz z podwójnym wstrząsem systemowym. Z tej perspektywy skutki mogłyby okazać się nawet poważniejsze niż w 2008 roku, ponieważ Departament Skarbu, już wcześniej obciążony własnym zadłużeniem, miałby znacznie mniejsze pole manewru, by taki wstrząs zamortyzować.

Widmo „szarego łabędzia”

„Czarnym łabędziem” określa się zdarzenie nieprzewidywalne, którego nadejścia nie sposób było racjonalnie oczekiwać, a którego konsekwencje są ogromne. „Szary łabędź” (*Grey Swan*) jest czymś innym: to kryzys, którego nadejścia nie można wykluczyć, którego symptomy są częściowo widoczne, ale którego moment, przebieg i skala pozostają nieznane. Wydaje się, że takiego właśnie scenariusza należy się dzisiaj najbardziej obawiać w przypadku amerykańskiego systemu finansowego.

Kunsztowna konstrukcja amerykańskiego systemu finansowego i jego wewnętrzne powiązania, to zarazem największa siła, ale i największa słabość tego sektora. Spadek wartości nieruchomości komercyjnych może osłabić kredytobiorców; słabsi kredytobiorcy osłabiają banki; słabsze banki zaostrzają politykę kredytową; trudniejszy dostęp do finansowania ogranicza inwestycje i wywiera presję na ceny aktywów; spadek cen aktywów jeszcze bardziej pogarsza bilanse, domykając pętlę. Praca zdalna już ograniczyła popyt na powierzchnie biurowe, a spowolnienie finansowania budownictwa ma tendencję do przenoszenia się w dół całego łańcucha – na wykonawców, dostawców i lokalne

społeczności, których rozwój zależy od pomyślnej kondycji tego sektora. Mechanizm takiej lawiny już istnieje. Otwarte pozostaje tylko pytanie, co ją wywoła.

Największym zagrożeniem dla amerykańskiego systemu finansowego nie musi być nieprzewidywalny „czarny łabędź”, lecz kumulacja znanych już słabości, które w odpowiednich warunkach mogą uruchomić efekt domina. Ryzyko polega więc nie tyle na pojedynczym problemie, ile na wzajemnym wzmacnianiu się napięć między rynkiem nieruchomości, zadłużeniem, bankami i mniej przejrzystymi segmentami finansowania.

Pamięć o 2008 roku jest pouczająca właśnie dlatego, że wiele pojedynczych sygnałów ostrzegawczych, rozpatrywanych z osobna, wydawało się jeszcze tolerowalnych.

Niebezpieczeństwo tkwiło nie w ich sumie, lecz w ich wzajemnym oddziaływaniu.

Dzisiejsze słabości mają wprawdzie inny kształt – sektor bankowy podlega znacznie ściślejszym regulacjom, a standardy udzielania kredytów hipotecznych są na ogół solidniejsze niż wówczas – ale gospodarka zgromadziła ogromne ilości długu w zupełnie innym otoczeniu stóp procentowych. Jednocześnie na znaczeniu zyskały mniej przejrzyste segmenty systemu finansowego, z kredytem prywatnym (*private credit*) na czele.

Iluzja gromadzenia bogactwa

Kruczość tego systemu łatwo przeoczyć chociażby ze względu na nadzwyczajne nominalne wyniki aktywów finansowych. Od końca lat dziewięćdziesiątych amerykańskie

akcje przyniosły, w ujęciu dolarowym, ogromne zyski. Dla kogoś, kto patrzy wyłącznie na giełdę, historia ta wygląda jak opowieść o trwającym od dekad spektakularnym tworzeniu bogactwa. Nominalny wzrost wartości nie jest jednak tym samym co zachowanie siły nabywczej. Wniosek, do którego dochodzimy, zależy w znacznym stopniu od tego, jaką miarę przyjmiemy do oceny bogactwa.

Spójrzmy na zachowanie amerykańskich akcji mierzonych w złocie. Około 1999 roku uncja złota kosztowała około 300 dolarów; w sierpniu 2026 roku jej cena wzrosła do około 4600 dolarów. W ujęciu dolarowym giełda w tym samym okresie odnotowała niesamowity wzrost. Mierzona jednak liczbą uncji złota, które można za nią nabyć, wygląda znacznie mniej imponująco: siła nabywcza amerykańskich akcji względem złota wyraźnie jednak spadła i – zależnie od przyjętych dokładnych dat i indeksu – zmniejszyła się mniej więcej o połowę.

Porównanie to pokazuje coś bardziej fundamentalnego: nominalny wzrost ceny aktywów może znacznie zawyżać rzeczywisty przyrost bogactwa, jeśli waluta, w której wartość tego aktywów mierzymy, sama traci siłę nabywczą. Rozróżnienie to ma szczególne znaczenie w gospodarce, w której wzrost cen aktywów szedł w parze z niezwyklej ekspansją zadłużenia i podaży pieniądza.

Rosnące ceny aktywów mogą tworzyć pozór powszechnego dobrobytu, nawet gdy rzeczywista siła nabywcza waluty oraz rozkład bogactwa podążają w zupełnie innym kierunku.

Dolar: przywilej waluty rezerwowej i jego powolna erozja

Status dolara jako głównej waluty rezerwowej świata pozostaje jedną z rzeczywistych przewag strukturalnych Ameryki, choć dziś podlega presji, jakiej nie obserwowaliśmy w tej skali od wielu dziesięcioleci. Najnowsze dane IMF COFER wskazują, że w czwartym kwartale 2025 roku dolar stanowił około 56,8 proc. globalnych rezerw walutowych, w porównaniu z około 20,3 proc. w przypadku euro i niespełna 2 proc. w przypadku chińskiego renminbi.

Nominalny wzrost wartości aktywów nie musi oznaczać realnego przyrostu bogactwa, jeśli jednocześnie spada siła nabywcza waluty, w której ten wzrost mierzymy. Dlatego obraz dobrobytu oparty wyłącznie na rosnących indeksach giełdowych może maskować znacznie bardziej złożone zmiany w rzeczywistej wartości majątku i jego podziale.

Ponieważ banki centralne, przedsiębiorstwa i rządy na całym świecie potrzebują dolarów do handlu ropą, rozliczania międzynarodowych transakcji i utrzymywania rezerw, istnieje trwały, strukturalny popyt na aktywa dolarowe – przede wszystkim amerykańskie obligacje skarbowe – który w niewielkim stopniu zależy od bieżącej kondycji amerykańskiej gospodarki. Popyt ten pozwala Waszyngtonowi pożyczać na ogromną skalę we własnej walucie, na warunkach, których większość państw nie mogłaby uzyskać. Utrzymuje również koszty obsługi amerykańskiego długu poniżej poziomu, jaki obowiązywałby w innych warunkach, działając w praktyce jak swoista

dotacja do deficytu budżetowego. Co więcej, daje Stanom Zjednoczonym wyjątkową możliwość projekcji siły finansowej poza własnymi granicami: zamrożenie dolarowych aktywów przeciwnika czy odcięcie banku od rozliczeń w dolarach może odbić się na całej gospodarce państwa objętego sankcjami, niezależnie od tego, gdzie się ono znajduje.

Właśnie dlatego, że przywilej ten ma tak dużą wartość, jego stopniowa erozja niesie dla Stanów Zjednoczonych ryzyko o charakterze systemowym. Dolar nie musi zostać zastąpiony przez juana, aby Ameryka odczuła utratę swojej przewagi. Nawet powolna dywersyfikacja rezerw i sposobów rozliczania transakcji mogłaby podnieść koszt amerykańskiego finansowania i ograniczyć pole manewru Waszyngtonu w miarę, jak międzynarodowy system monetarny przesuwają się w stronę bardziej wielobiegunowego porządku, mniej skupionego wokół dolara.

Gdyby zaufanie do dolara wyraźnie osłabło, wstrząs nie pozostałby ograniczony do granic Stanów Zjednoczonych. Europejskie banki centralne posiadają znaczne rezerwy dolarowe, międzynarodowe banki i przedsiębiorstwa mają zobowiązania denominowane w dolarach, a światowy handel pozostaje w dużej mierze oparty na dolarze. Poważny kryzys dolara byłby zatem kryzysem globalnym – i zmusiłby Europę do zmierzenia się z trudnym pytaniem, którego konsekwencje mogłyby zagrozić nawet samemu euro.

Europa ma skalę gospodarczą pozwalającą na stworzenie znaczącej waluty rezerwowej, ale brakuje jej kluczowych instytucjonalnych

fundamentów, które czynią dolara tak potężnym: jednolitej władzy fiskalnej, rzeczywiście zintegrowanego rynku kapitałowego oraz jednego państwowego instrumentu dłużnego porównywalnego z amerykańskimi obligacjami skarbowymi. W tym sensie osłabienie amerykańskiego prymatu monetarnego nie musiałoby automatycznie prowadzić do prymatu monetarnego Chin. Mogłoby natomiast doprowadzić do bardziej rozdrobnionego międzynarodowego porządku finansowego.

Dolar pozostaje jednym z najważniejszych źródeł amerykańskiej przewagi, ponieważ obniża koszty finansowania państwa i daje Waszyngtonowi wyjątkową możliwość oddziaływania na globalny system finansowy. Jego stopniowa erozja nie musi oznaczać zastąpienia go przez juana, ale może prowadzić do bardziej wielobiegunowego i mniej stabilnego porządku monetarnego, ograniczając zarazem strategiczne pole manewru Stanów Zjednoczonych.

Społeczne fundamenty zaufania

Statystyki gospodarcze i finansowe pokazują tylko część obrazu, ponieważ państwa są w stanie przez stosunkowo długi czas dźwigać znaczne zadłużenie, jeśli jego obywatele wierzą, że instytucje są kompetentne i zasadniczo uczciwe. W przypadku Ameryki wiara ta wydaje się coraz bardziej krucha. Polityczna polaryzacja osiągnęła poziom, który utrudnia zwykle sprawowanie rządów; zaufanie do instytucji federalnych pozostaje niskie, a znaczna część społeczeństwa podejrzewa, że rząd służy raczej elitom, korporacjom

czy zorganizowanym grupom interesu niż zwykłym obywatelom.

Ma to większe znaczenie niż zwykły poziom poparcia dla rządu, ponieważ współczesne gospodarki zależą od oczekiwań niemal w takim samym stopniu jak od produkcji. Ludzie konsumują, ponieważ oczekują przyszłych dochodów; przedsiębiorstwa inwestują, ponieważ spodziewają się przyszłego popytu; banki udzielają kredytów, ponieważ liczą na ich spłatę; inwestorzy kupują obligacje skarbowe, ponieważ zakładają, że państwo pozostanie stabilne finansowo i politycznie. Gdy zaufanie zaczyna się kruszyć, zależności te nie tylko słabną – mogą ulec odwróceniu. Badania sytuacji finansowej gospodarstw domowych pokazują, jak szeroko rozpowszechnione są już podstawy tego napięcia: od mniej więcej jednej czwartej do ponad połowy amerykańskich gospodarstw domowych deklaruje, że żyje od wypłaty do wypłaty. Według monitoringu prowadzonego przez jeden z dużych banków, pogorszenie sytuacji jest najbardziej widoczne w przypadku gospodarstw o niższych dochodach – około 29 proc. z nich żyje „od pierwszego do pierwszego”.

Amerykański system polityczny coraz bardziej przypomina organizm, który spiera się nie o to, jak rozwiązać swoje problemy, lecz o to, czy problemy te w ogóle istnieją. Gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa nadal funkcjonują w wysoko zoptymalizowanej gospodarce konsumpcyjnej, której działanie zależy od ciągłości zatrudnienia i dostępu do kredytu; wystarczająco poważne zakłócenie któregośkolwiek z tych dwóch elementów mogłoby wywołać skutki daleko wykraczające poza początkowy koszt finansowy. Nie

oznacza to, że należy się obawiać, iż społeczna odporność Ameryki niebawem zniknie.

Oznacza natomiast, że nie należy traktować jej jako trwałego elementu krajobrazu, lecz jako zasób, który – podobnie jak każdy inny – może się wyczerpać.

Zaufanie społeczne jest jednym z mniej widocznych, ale kluczowych zasobów państwa: podtrzymuje skłonność do konsumpcji, inwestowania, kredytowania i finansowania długu publicznego. Gdy zaczyna się kruszyć, nawet gospodarka o silnych fundamentach materialnych może stać się bardziej podatna na wstrząsy, bo odporność społeczna nie jest dana raz na zawsze.

Republika i imperium

U podstaw amerykańskiego sposobu postrzegania własnego państwa tkwi jeszcze jedna sprzeczność. Z konstytucyjnego i kulturowego punktu widzenia Amerykanie myślą o swoim kraju jako o republice – jednym z państw wśród innych państw, rządzonym z woli obywateli. W sensie funkcjonalnym Stany Zjednoczone działają jednak jak imperium: jako światowa sieć baz wojskowych, sojuszy, partnerstw wywiadowczych i finansowych instrumentów nacisku, przy czym dolar daje Waszyngtonowi formę eksterytorialnego oddziaływania, a amerykańska potęga militarna pozwala osiągnąć każdego większego regionu świata. Stwierdzenie tego faktu nie jest oceną moralną; jest jedynie wskazaniem pewnej strukturalnej rzeczywistości.

Problem polega na tym, że amerykańska kultura polityczna nigdy w pełni nie pogodziła

republikańskiego obrazu samej siebie z wymogami – rzeczywistymi, a czasem wyobrażonymi – zarządzania imperium. Imperium, jeśli ma być właściwie zarządzane, wymaga strategicznej cierpliwości, spójnego rozumienia interesów sojuszników i rywali oraz umiejętności rzeczywistego dostrzegania tego, jak inne społeczeństwa odbierają amerykańską potęgę. Tymczasem amerykańska polityka zagraniczna coraz częściej wydaje się kształtowana przez presję krajowego cyklu informacyjnego, a nie przez ugruntowane rozumienie świata poza granicami Stanów Zjednoczonych. Prawidłowa ocena tej okoliczności ma szczególne znaczenie dla Polski, gdzie decyzje Waszyngtonu, postrzegane z amerykańskiej perspektywy jako ograniczone lub taktyczne, mogą być w Warszawie odbierane jako strategicznie doniosłe, a nawet zagrażające podstawowym interesom bezpieczeństwa państwa. Z amerykańskiej perspektywy może to być sposób postrzegania świata, który najlepiej służy interesom Stanów Zjednoczonych; z polskiej perspektywy oznacza jednak sytuację, w której kierowca dysponuje niezwykle mocnym silnikiem, lecz posługuje się zawodną mapą.

Wojna jako system gospodarczy

Jedną z najbardziej kłopotliwych cech amerykańskiego systemu jest związek między wojną a bazą przemysłowo-obronną, która ją zaopatruje. Byłoby zbyt dużym uproszczeniem twierdzić, że amerykańskie wojny – a przynajmniej niektóre z nich – są prowadzone dla zysku; państwa podejmują wojny z wielu powodów, a zagrożenia, na które odpowiadają, są często rzeczywiste. Nie ulega jednak wątpliwości, że system

przemysłu obronnego tworzy mechanizm silnego i samopodtrzymującego się interesu związanego z utrzymywaniem wysokich wydatków wojskowych. Pieniądze publiczne trafiają do prywatnych wykonawców; firmy te zatrudniają ogromne rzesze ludzi i finansują instytuty badawcze, uniwersytety, działalność lobbingsową i kampanie polityczne; emerytowani oficerowie przechodzą do przemysłu, podczas gdy przedstawiciele przemysłu trafiają do administracji rządowej.

Najważniejsze napięcie amerykańskiej polityki zagranicznej wynika z rozdźwięku między republikańskim obrazem własnego państwa a funkcjonalnie imperialnym zakresem jego globalnego oddziaływania. Dla sojuszników, takich jak Polska, problemem nie jest sama skala amerykańskiej potęgi, lecz to, czy towarzyszy jej wystarczająco spójne i długofalowe rozumienie konsekwencji własnych decyzji.

Ten układ zależności dostrzegł i nazwał prezydent Dwight Eisenhower w swoim pożegnalnym przemówieniu z 1961 roku, a jego słowa pozostają chyba najdobitniejszym ostrzeżeniem przed związanym z nim zagrożeniem. Ostrzegał przed „zdobyciem nieuzasadnionych wpływów, zamierzonych czy niezamierzonych, przez kompleks militarno-przemysłowy” i wskazywał, że istnieje i będzie istniało „niebezpieczeństwo katastrofalnego wzrostu źle ulokowanej władzy”. Ostrzegał również, że połączenie wielkiego, stałego przemysłu zbrojeniowego z równie wielkim, stałym establishmentem wojskowym

było czymś nowym w amerykańskim doświadczeniu. Jego wpływ – „ekonomiczny, polityczny, a nawet duchowy” – sięgał każdego stanu i każdego urzędu federalnego. Eisenhower podkreślał przy tym, że jedynie „czujni i świadomi obywatele” mogą dopilnować, aby ta potężna machina przemysłowo-wojskowa służyła jednocześnie bezpieczeństwu i wolności, a nie działała przeciwko nim.

Problemem nie jest oczywiście to, że wykonawcy zbrojeniowi osiągają zyski; zysk jest zwyczajnym elementem gospodarki rynkowej. Problem polega na tym, że system znacznie silniej premiuje drogie, wysokomarżowe i technologicznie złożone systemy uzbrojenia niż rozwiązania tanie, szybko produkowane i łatwe do zastąpienia – a wojny XXI wieku coraz wyraźniej ujawniają właśnie tę rozbieżność. Jak zauważył jeden z komentatorów, żaden strateg wcześniejszych epok – ani Clausewitz, ani Sun Tzu – nie mógłby sobie wyobrazić, a tym bardziej zaakceptować systemu, w którym producenci broni współfinansują instytucje zajmujące się analizą geopolityki i symulacją przyszłych konfliktów, z powodów zarówno uzasadnionych, jak i mniej uzasadnionych; wpływają na bodźce kształtujące decyzje urzędników określających priorytety zakupów obronnych; a za pośrednictwem sieci przychylnych mediów i think tanków współtworzą debatę publiczną, która służy uzasadnianiu tych samych priorytetów. Właśnie dlatego przejrzystość zamówień obronnych nie jest zwykłą kwestią administracyjnej skrupulatności. Jest elementem samej struktury władzy, a tym samym kwestią bezpieczeństwa narodowego.

System zamówień obronnych i logika wojny permanentnej

Współczesna wojna jest w coraz większym stopniu rywalizacją o koszty i tempo produkcji, a nie tylko o przewagę technologiczną. W konflikcie o wysokiej intensywności, który może trwać miesiącami lub latami, o wyniku decyduje nie tylko to, co armia potrafi wyprodukować, lecz także to, co jest w stanie stale i w odpowiednim tempie uzupełniać. Wojna staje się w pewnym sensie sytuacją permanentną – nie dlatego, że musi trwać bez końca, lecz dlatego, że wymaga zdolności do ciągłego odtwarzania zużywanego uzbrojenia. Pocisk kosztujący miliony dolarów może znakomicie sprawdzić się przeciwko równie drogiemu samolotowi czy pociskowi balistycznemu; rachunek wygląda jednak zupełnie inaczej, gdy ten sam pocisk jest raz po raz wykorzystywany do zwalczania dronów kosztujących ułamek jego ceny. W końcu o wyniku rozstrzyga arytmetyka, niezależnie od tego, jak imponująco prezentują się parametry danej broni na slajdzie podczas briefingu w Pentagonie.

Wojna z Iranem w 2026 roku dostarczyła niepokojącego przykładu tego problemu. W sierpniu Associated Press poinformowała, że amerykańskie zapasy pocisków do obrony przeciwrakietowej, w tym kluczowych dla obrony Europy pocisków Patriot, znalazły się na poziomie „poniżej krytycznego”, po tym jak intensywne ich zużycie w konflikcie z Iranem nałożyło się na trwające dostawy dla Ukrainy i innych sojuszników. To, czy każdy szczegół tych doniesień okaże się w pełni precyzyjny, ma mniejsze znaczenie niż pytanie strategiczne, które się nasuwa: czy Stany Zjednoczone są w stanie produkować zaawansowane systemy

obronne wystarczająco szybko i wystarczająco tanio, aby prowadzić długotrwały konflikt o wysokiej intensywności? Dane z 2026 roku sugerują, że na razie odpowiedź brzmi negatywnie. Problem nie polega przy tym na braku zdolności technicznych – pod tym względem Ameryka pozostaje wyjątkowo dobrze wyposażona – lecz na organizacji produkcji przemysłowej i priorytetach systemu zamówień obronnych.

Sam fakt ogromnych zarobków, jakie prywatne firmy osiągną na obronności, nie jest specjalnym zagrożeniem dla systemu przemysłowo-obronnego. Prawdziwym zagrożeniem jest sytuacja, w której bodźce ekonomiczne zaczynają premiować rozwiązania drogie i złożone kosztem tych, które najlepiej odpowiadają realiom współczesnej wojny. Przezrystość zamówień obronnych jest zatem nie tylko kwestią efektywności wydatków, lecz także elementem bezpieczeństwa państwa i kontroli nad sposobem, w jaki kształtowane są jego strategiczne priorytety.

Częścią problemu jest powracający entuzjazm dla technologicznego cudu: przekonanie, że kolejny system znajdujący się w fazie opracowywania okaże się prawdziwą *Wunderwaffe*, bronią tak dalece przewyższającą możliwości przeciwnika, że sama zapewni przewagę na polu walki. Historia nie była łaskawa dla tego rodzaju myślenia – oczywistą przestrogą pozostaje wojenne zauroczenie Niemiec samym pojęciem *Wunderwaffe* – ale schemat ten powraca za każdym razem, gdy armia

zbyt wiele stawia na pojedynczy skok technologiczny. Broń olśniewa podczas demonstracji, a następnie rozczarowuje na polu walki właśnie dlatego, że wojna, w przeciwieństwie do laboratorium, rzadko pozostaje w bezruchu wystarczająco długo, by pojedyncza innowacja mogła przez dłuższy czas pozwolić na zachowanie dominującej pozycji.

Współczesna przewaga militarna zależy nie tylko od jakości uzbrojenia, lecz także od zdolności do jego szybkiej, taniej i masowej produkcji oraz odtwarzania strat w długotrwałym konflikcie. Jeśli system zamówień obronnych premiuje kosztowną złożoność, wieloletnie cykle wdrożeniowe i proceduralną bezwładność, nawet technologicznie zaawansowana armia może mieć trudność z dostosowaniem się do realiów wojny opartej na tempie, skali i ekonomii zużycia.

Niedawne ćwiczenia NATO dostarczyły wymownego przykładu bliższego Europie. Podczas ćwiczeń *Hedgehog* w Estonii w 2025 roku niewielki zespół ukraińskich operatorów dronów zasymulował w ciągu jednego dnia zniszczenie liczącego kilka tysięcy żołnierzy ugrupowania NATO, w tym jednostek brytyjskich i estońskich. Z kolei podczas ćwiczeń *Combined Resolve* w Niemczech w 2026 roku ukraińskie załogi z 412. Brygady Bezzałogowych Systemów Sił Zbrojnych Ukrainy niszczyły pojazdy amerykańskiej brygady pancernej tak szybko, że kontrolerzy ćwiczeń musieli wielokrotnie je „odradzać”, aby utrzymać ćwiczenie w ruchu. Według relacji „The Wall Street Journal” rezultat ten

wyraźnie zaskoczył amerykańskich oficerów – dopiero praktyczne ćwiczenia i symulacje ujawniły strategiczną lukę poznawczą w dotychczasowych założeniach.

Government Accountability Office (GAO) dokumentuje te problemy od lat. Według jego najnowszej oceny Departament Obrony potrzebuje obecnie średnio ponad 12 lat, aby dostarczyć pierwszą wersję nowego systemu uzbrojenia. Najdroższe programy regularnie przekraczają zakładane koszty i terminy, a tegoroczna ocena GAO wskazuje, że problem ma charakter systemowy, a nie incydentalny: aparat zamówień obronnych nadal nie nadąża za tempem zmian technologicznych. Broń, której opracowanie zajmuje dwanaście lat, może trafić na pole walki już jako rozwiązanie przestarzałe.

Instytucjonalny odruch stojący za tymi opóźnieniami można uchwycić w małym, ale wymownym przykładzie. Douglas MacGregor – odznaczony weteran wojny w Zatoce Perskiej z 1991 roku, późniejszy starszy doradca w Pentagonie, podczas pierwszej kadencji Donalda Trumpa, a dziś komentator zajmujący się polityką obronną – wspominał, że zaproponował kiedyś prostszy i mniej kosztowny sposób rozmieszczania ciężkiego sprzętu. Pomysł uznano za interesujący i chwalono jego pomysłowość, po czym go odrzucono z powodów w istocie proceduralnych: wyjaśniono mu, że po prostu nie mieści się w systemie zamówień armii.

Niewygodne pytanie o bodźce

Dlaczego taki system trwa mimo dobrze udokumentowanych słabości? Pytanie to nie dotyczy wyłącznie Stanów Zjednoczonych – porównywalne mechanizmy powtarzają

się w strukturach obronnych wielu innych państw na tyle często, że trudno uznać je za amerykańską osobliwość. Stany Zjednoczone stworzyły wokół budżetu obronnego ogromny ekosystem – głównych wykonawców i ich podwykonawców, firmy konsultingowe, uniwersytety, laboratoria, think tanki oraz lokalne grupy interesów politycznych, których ekonomiczne interesy są związane z konkretnymi programami. Oddzielenie interesu państwa od interesów aparatu, który wyrósł wokół budżetu bezpieczeństwa narodowego, staje się tym samym coraz trudniejsze. Sam Government Accountability Office od dziesięcioleci uznaje system zamówień obronnych za obszar „wysokiego ryzyka” i zaleca jego fundamentalną reformę, która została wdrożona w znikomym stopniu.

Nie oznacza to, że każdy program obronny jest marnotrawny czy skorumpowany. Chodzi o coś innego: struktura bodźców otaczająca te programy zasługuje na znacznie większą uwagę, niż poświęca się jej obecnie – sama wielkość środków wydawanych na obronność mówi bowiem niewiele o rzeczywistych zdolnościach wojskowych, jakie za te pieniądze są nabywane.

Niepokojąca analogia historyczna

Pojawia się pokusa – i nie jest ona całkowicie pozbawiona podstaw – by porównać dzisiejsze Stany Zjednoczone ze Związkiem Radzieckim z końca lat siedemdziesiątych. Nie należy jednak posuwać tej analogii zbyt daleko: Ameryka pozostaje nieporównanie bogatsza, bardziej dynamiczna technologicznie i bardziej otwarta instytucjonalnie, niż kiedykolwiek był system radziecki, a jej gospodarki nie krępuje nic, co przypominałoby centralne planowanie.

Mimo to pewne podobieństwa strukturalne warto nazwać.

Sama wysokość wydatków obronnych nie przesądza o realnej sile militarnej, jeśli system bodźców premiuje utrzymywanie kosztownych programów zamiast maksymalizowania efektu strategicznego. Kluczowe pytanie brzmi więc nie tylko, ile państwo wydaje na obronność, lecz jakie rzeczywiste zdolności wojskowe potrafi za te środki zbudować.

Późne przywództwo radzieckie zgromadziło ogromną potęgę militarną, podczas gdy jego system polityczny stawał się coraz mniej zdolny do przeprowadzania reform. Leonid Breżniew, którego stan zdrowia wyraźnie się pogarszał w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pozostawał u władzy przez kolejne lata mimo widocznego, a chwilami publicznie dostrzegalnego osłabienia fizycznego. Jego następcy, Jurij Andropow i Konstantin Czernienko, również byli ludźmi w podeszłym wieku i poważnie chorowali; obaj zmarli pełniąc urząd, w krótkim odstępie czasu. W chwili śmierci Breżniewa mediana wieku członków Politbiura zbliżała się do siedemdziesięciu lat. Historycy wskazywali później na to pokolenie przywódców, kurczowo trzymające się władzy i – według wielu ocen – coraz bardziej oderwane od zmieniającego się świata zewnętrznego, jako jeden z czynników, które przyczyniły się do późniejszego rozpadu sowieckiego systemu.

Współczesna polityka amerykańska wytworzyła własną, szeroko dyskutowaną wersję tego niepokoju dotyczącego wieku

i zdolności przywódczych na samym szczycie władzy – to znaczy wśród niewielkiego kręgu ludzi, którzy rzeczywiście trzymają w rękach najważniejsze dźwignie decyzji państwowych. Joe Biden wycofał się z wyścigu o prezydenturę w 2024 roku po występie w debacie transmitowanej w telewizji, który prasa opisywała jako wyjątkowo niespójny i niejasny. Jego następca z Partii Republikańskiej, obecny prezydent Donald Trump, który ma obecnie osiemdziesiąt lat, został już wielokrotnie uchwycony podczas oficjalnych spotkań z zamkniętymi oczami, co wywoływało publiczne spekulacje, czy zasypiał. Nie jest to próba stawiania diagnozy klinicznej, lecz wskazanie szerszego zjawiska, które warto nazwać: amerykańska kultura polityczna, podobnie jak jej późnosowiecki odpowiednik, wydaje się coraz bardziej skłonna powierzać władzę przywódcom w podeszłym wieku, silnie otoczonym kręgiem doradców, ekspertów i ludzi biznesu. Przywódcy ci często zachowują przy tym ton wyższości i pewności siebie, który niepokojąco kontrastuje z bardziej nihilistycznym cynizmem kryjącym się pod powierzchnią – są mniej panami wydarzeń niż uczestnikami gry między rywalizującymi kręgami potężnych interesów, które wzajemnie się blokują i równoważą, podczas gdy spójna strategia i długofalowa dalekowzroczność, których wymaga obecna chwila, pozostają uderzająco nieobecne.

Istotę zagrożenia stanowi zatem w mniejszym stopniu wiek czy kondycja psychofizyczna konkretnego przywódcy niż ogólnosystemowa mentalność cynicznej gry o władzę – przekonania o domniemanej nietykalności, cichego przeświadczenia, że państwo tak potężne może bez końca absorbować kolejne

Największym zagrożeniem dla wielkiego mocarstwa jest utrata zdolności instytucjonalnej do korekty błędów, reform i długofalowego myślenia strategicznego. Potęga może przez lata maskować słabości systemu, ale przeświadczenie, że skala zasobów pozwoli bez końca absorbować skutki złych decyzji, samo w sobie staje się źródłem strategicznego ryzyka.

błędy strategiczne. To logika aroganckiej i nieodpowiedzialnej koterii, której nie ogranicza praktycznie nic poza własnym apetytem na władzę, która gra *va banque* przy stole – stawiając wszystko na jeszcze jeden brawurowy rzut i wierząc, że kasyno nigdy naprawdę nie upomni się o dług: możemy pożyczać więcej; możemy nakładać cła i absorbować ich konsekwencje; możemy destabilizować sojuszników i oczekiwać, że mimo wszystko pozostaną po naszej stronie; możemy grozić przeciwnikom, nigdy nie precyzując, czego właściwie od nich żądamy ani przed czym ich ostrzegamy; możemy prowadzić system zamówień obronnych, który potrzebuje dekady na dostarczenie broni, i po prostu ufać, że przewaga technologiczna wyrówna tę różnicę; możemy finansować wojny, nie pytając wcześniej, czy stojąca za nimi baza przemysłowa jest w stanie udźwignąć ich ciężar; możemy pozwalać instytucjom podupadać, ponieważ gospodarka jest rzekomo zbyt wielka, by konsekwencje kiedykolwiek mogły mieć znaczenie.

Problem polityki zagranicznej

Napięcia gospodarcze i militarne byłyby same w sobie wystarczająco poważne; stają

się jednak znacznie bardziej niebezpieczne, gdy nakłada się na nie nieprzewidywalność polityki zagranicznej. Sojusznicy potrzebują w miarę pewnego rozeznania, co Waszyngton zrobi jutro; przeciwnicy muszą wiedzieć, co Stany Zjednoczone uznają za swój żywotny interes; rynki zaś potrzebują choćby pewnej orientacji co do kształtu polityki gospodarczej w perspektywie kolejnego roku. Tymczasem Waszyngton coraz częściej wysyła sprzeczne sygnały – domaga się daleko idących zmian w relacjach z wieloletnimi sojusznikami, podważa dotychczasowe wyobrażenie o podstawowym celu NATO, nakłada cła zarówno na przyjaciół, jak i przeciwników, przyjmuje konfrontacyjną postawę wobec Iranu, a jednocześnie nadal wspiera Ukrainę.

Żadna z tych niespójności z osobna nie musi prowadzić do katastrofy. Głębszy problem polega na braku strategicznej ciągłości, która by je spajała – państwo, które od czasu do czasu zmienia zdanie, niekiedy zresztą z uzasadnionych powodów, wygląda zupełnie inaczej niż państwo, którego zobowiązania wydają się zależeć od politycznego nastroju chwili, a nie od trwałej kalkulacji interesu narodowego. Dla Polski, położonej między odradzającą się i coraz bardziej asertywną Rosją, coraz bardziej niespokojnymi Niemcami, ponownie zaznaczającymi własną wagę w Europie, a Ukrainą, której powojenna trajektoria pozostaje prawdziwie niepewna, nie jest to rozróżnienie akademickie. Żadne z trzech głównych państw sąsiednich Polski nie oferuje wiarygodnego substytutu amerykańskich gwarancji – a naród, który przez znaczną część swojej nowoczesnej historii wypatrywał w Berlinie, Moskwie i Kijowie frakcji rzeczywiście przychylniej Polsce, nauczył się

odczytywać powracające, na wpół skrywane sygnały niejednoznaczności płynące z każdej z tych stolic dokładnie takimi, jakimi są, niezależnie od tego, jak dyplomatycznie brzmią oficjalne komunikaty.

Największym ryzykiem dla sojuszników Stanów Zjednoczonych nie jest sama zmiana kierunku amerykańskiej polityki, lecz utrata strategicznej ciągłości i przewidywalności zobowiązań. Dla Polski oznacza to konieczność ponownego namysłu nad tym, na jakich filarach powinna opierać bezpieczeństwo państwa w świecie, w którym amerykańskie zaangażowanie może stać się mniej trwałe i mniej jednoznaczne.

Polska zbudowała całą swoją strategię bezpieczeństwa wokół amerykańskiego zaangażowania – kupując amerykańskie uzbrojenie, goszcząc amerykańskie wojska i traktując Waszyngton jako niezastąpiony zewnętrzny filar swojej obrony, właśnie dlatego, że Stany Zjednoczone pełniły, używając określenia Mearsheimera, rolę stabilizatora i obrońcy Europy. Strategia ta miała bardzo mocne uzasadnienie w stosunkowo stabilnych dekadach po zakończeniu zimnej wojny. Trudniejsze pytania, na które Warszawa musi dziś poszukać odpowiedzi to po pierwsze: co stanie się, jeśli amerykańska potęga zacznie słabnąć – choćby tylko relatywnie – a strategiczna uwaga Stanów Zjednoczonych ponownie przesunie się, jak już okresowo bywało, całkowicie ku innym teatrom działań; a po drugie: na kim ostatecznie powinna opierać się polska strategia bezpieczeństwa?

Wymiar moralny

Istnieje jednak jeszcze jedna forma amerykańskiej potęgi, której nie da się uchwycić w żadnym bilansie: autorytet moralny. Przez dziesięciolecia Stany Zjednoczone przedstawiały się jako coś więcej niż tylko najsilniejsze państwo w systemie międzynarodowym – jako strażnik ładu opartego na regułach, obrońca wartości demokratycznych i praw człowieka także poza własnymi granicami. Ten obraz moralnego przywództwa szczególnie silnie przemawiał do Polski, kraju przywiązującego dużą wagę do moralnych przekonań, w którym słuszny moralny odruch często ceni się wyżej niż chłodną, racjonalną kalkulację. Taki sposób przedstawiania własnej roli nigdy nie był w pełni zgodny z amerykańskim postępowaniem, przez długi czas stanowił jednak jeden z rzeczywistych strategicznych atutów Stanów Zjednoczonych: przyciągał sojuszników, sprzyjał imigracji i nadawał amerykańskiej dyplomacji rodzaj autorytetu, którego sama siła militarna nigdy nie mogłaby zapewnić.

Ten zasób legitymizacji kurczy się za każdym razem, gdy amerykańskie działania w widoczny sposób rozmiągają się z zasadami, których Stany Zjednoczone deklarują bronić – a wydarzenia ostatnich lat, od ludzkiego kosztu wojny w Gazie po doniesienia o atakach, które trafiły w szkołę żeńską w Teheranie, aż po otwarte groźby retoryczne kierowane pod adresem czterotysięcznej cywilizacji, raczej pogłębiły, niż zmniejszyły tę rozbieżność w oczach znacznej części świata. Nie chodziło nigdy o to, czy amerykańska polityka zagraniczna była moralnie bez zarzutu; oczywiście, że nie była. Pytanie brzmi raczej, czy dystans między

tym, co Waszyngton mówi, a tym, co robi, nie stał się zbyt duży, by tradycyjna opowieść o amerykańskim przywództwie mogła nadal być wiarygodna. Wiarygodność, raz utracona, jest niezwykle trudna do odzyskania. Dla Polski – właśnie dlatego, że przez tak długi czas tak mocno wierzyła w tę opowieść – erozja amerykańskiego autorytetu moralnego oznacza coś bliższego osłupieniu, żalowi i dezorientacji niż zwykłemu rozczarowaniu.

Autorytet moralny jest jednym z mniej uchwytnych, ale realnych źródeł potęgi państwa, ponieważ zwiększa wiarygodność jego przywództwa i zdolność przyciągania sojuszników. Gdy jednak rośnie rozdźwięk między deklarowanymi wartościami a praktyką polityczną, erozji ulega nie tylko reputacja, lecz także jeden z ważnych instrumentów oddziaływania strategicznego.

Troska zamiast potępienia

Wobec Europy Ameryka wyraźnie umocniła swoją pozycję, a wobec Chin w ostatnich latach ponownie zwiększyła dystans w ujęciu nominalnym; trudno więc utrzymywać, że amerykańska potęga materialna – mierzona udziałem w światowym PKB, przewagą technologiczną czy zdolnościami militarnymi – ulega gwałtownemu i jednoznacznemu osłabieniu.

Mimo to być może tym, co naprawdę odróżnia obecny moment od wcześniejszych prognoz „amerykańskiego schyłku”, nie jest żaden pojedynczy problem, lecz ich jednoczesność: skala problemu fiskalnego, realny konkurent systemowy w postaci Chin, polaryzacja

wewnętrzna oraz większa nieprzewidywalność polityki wobec sojuszników. Wtedy teza nie brzmiałaby: „Ameryka słabnie”, lecz raczej: „rosną jej wewnętrzne ograniczenia w wykorzystywaniu wciąż ogromnej przewagi”.

To jednak nie oznacza, że sytuacja jest beznadziejna. Żaden z opisanych tu problemów nie jest sam w sobie fatalny. Deficyty można ograniczyć. System zamówień obronnych można zreformować. Regulacje sektora bankowego można wzmocnić. Można odbudować zdolności przemysłowe. Można naprawić sojusze. Zaufanie społeczne można – przynajmniej w zasadzie – odzyskać. Stany Zjednoczone dokonywały już w swojej historii wszystkich tych rzeczy, w różnych momentach i na różne sposoby, i nic nie daje podstaw do braku wiary w to, że w obecnej sytuacji mogą zrobić to ponownie. Poza możliwością naprawienia któregośkolwiek z tych problemów istnieje jednak inna, rzeczywiście realna możliwość: rosnące wewnętrzne ograniczenia w wykorzystywaniu wciąż ogromnej przewagi materialnej mogą okazać się trudniejsze do przezwyciężenia niż same niedostatki zasobów. Rezultatem może być nie powstanie nowego centrum ciężkości, lecz bardziej rozdrobniony, wielobiegunowy porządek światowy – taki, którego zarys można już dostrzec w powolnym osłabianiu przywileju dolara jako głównej waluty rezerwowej oraz w rosnącym udziale gospodarek spoza tradycyjnego Zachodu w światowej produkcji.

To, co powinno naprawdę niepokoić zewnętrznego obserwatora, nie jest więc brakiem zasobów, lecz możliwym brakiem zdolności politycznej do działania – obawą, że amerykańska machina państwowa stała

się mniej zdolna do podejmowania trudnych decyzji, których wymagałoby każde z tych rozwiązań. Supermocarstwo nie musi stać się biedne, aby utracić siłę strategiczną; wystarczy, że straci zdolność do podejmowania decyzji współmiernych do skali stojących przed nim wyzwań. Nawet najobficiej zaopatrzony w paliwo silnik nie ruszy, jeśli zawiedzie zapłon.

Troska o przyszłość Ameryki nie wynika z przekonania o jej nieuchronnym schyłku, lecz z obawy, że rosnące ograniczenia wewnętrzne mogą coraz bardziej utrudniać jej przekładanie ogromnej potęgi materialnej na skuteczne i przewidywalne działanie. Dla Polski i Europy oznacza to konieczność jednoczesnego zabiegania o silną i wiarygodną Amerykę oraz przygotowywania się na świat, w którym jej zdolność do podtrzymywania dotychczasowego ładu może być mniejsza niż w poprzednich dekadach.

Dla Polski, a szerzej także dla Europy, stawka jest trudna do przecenienia. Dla Polski nadal niezwykle ważne jest aby Stany Zjednoczone pozostały rzeczywiście zaangażowane w bezpieczeństwo Europy. „Silna Ameryka” w sensie, który ma tu rzeczywiste znaczenie, nie może jednak oznaczać po prostu Ameryki wydającej więcej pieniędzy, produkującej więcej broni i wysyłającej więcej grózb. Musi oznaczać Amerykę stabilną fiskalnie, zdolną do adaptacji militarnej, sprawną instytucjonalnie i – być może przede wszystkim – strategicznie przewidywalną oraz wiarygodną. Jednocześnie Europa ze swojej strony postąpiłaby rozsądnie, gdyby zaczęła się przygotowywać na ewentualność, że w nadchodzącej

dekadzie Stany Zjednoczone okazały się mniej zdolne do podejmowania i dotrzymywania zobowiązań sojuszniczych niż w minionych dziesięcioleciach – niekoniecznie dlatego, że ich materialna potęga maleje, lecz dlatego, że rosną wewnętrzne ograniczenia w jej strategicznym wykorzystaniu.

Ta możliwość rodzi pytanie, które niewielu w Berlinie czy Warszawie chciałoby głośno wypowiedzieć: czy rzeczywiście osłabiona Ameryka mogłaby z czasem popchnąć Unię Europejską w stronę chińskiej orbity, a także ku jakiemuś porozumieniu z Rosją – jako cenie za zachowanie własnego bezpieczeństwa i dobrobytu innymi środkami. Gdyby taki zwrot rzeczywiście kiedyś nastąpił, trudniejsze pytanie dla Polski nie brzmiałoby już „czy?”, lecz „jak do niego dojdzie?": czy Polska znajdzie się w pozycji pozwalającej jej współkształtować tę zmianę i wykorzystać ewentualne korzyści wynikające z odpowiednio wczesnego ruchu, czy też stanie się niechętnym maruderem, wciągniętym na drogę wybraną już przez większe państwa europejskie i docierającym na jej końcu – na cudzych warunkach.

Nic z tego nie jest prognozą rychłego upadku Ameryki. Jest natomiast ostrzeżeniem przed strategicznym samozadowoleniem – zarówno amerykańskim, europejskim, jak i polskim. Stany Zjednoczone zachowują ogromną

potęgę, ale potęga nie jest tym samym co siła, a siła nie jest tym samym co mądrość. Ameryka może nadal pożyczać, nadal budować i nadal projektować swoją siłę w każdym zakątku świata. W końcu jednak każde wielkie mocarstwo staje wobec tego samego fundamentalnego testu: czy jego instytucje potrafią dostosowywać się równie szybko, jak zmienia się świat wokół nich?

Być może Stany Zjednoczone już próbują na to pytanie odpowiadać – w sposób chaotyczny, nieskoordynowany, a niekiedy gwałtowny. Nawet jeśli tak jest, pozostaje pytanie, czy Polska potrafi właściwie odczytać te zmiany i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski. Świat wkroczył już głęboko w zmieniający się XXI wiek, podczas gdy znaczna część polskich elit politycznych i strategicznych nadal myśli kategoriami odziedziczonymi po XX, a niekiedy nawet po XIX wieku.

Odpowiedź na to pytanie – znacznie bardziej niż wielkość jakiegokolwiek budżetu wojskowego czy poziom któregośkolwiek indeksu giełdowego – określi kierunek, w którym podąży Ameryka w nadchodzących dziesięcioleciach. A ponieważ przyszłość Ameryki i Europy pozostaje tak ściśle ze sobą związana, jest to pytanie, którego Polska i Europa nie mogą już sobie pozwolić traktować jako cudzej, wewnętrznej sprawy. ■

O AUTORZE

prof. Mariusz Orłowski – Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego Wykładowca i badacz fizyki półprzewodników Virginia Tech University w Stanach Zjednoczonych. Od 1984 do 2008 r. pracował w przemyśle półprzewodnikowym w firmach Siemens, Motorola, STMicroelectronics i Freescale w USA, Niemczech, Francji i Rosji. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.